

Antoni Górski

*Pamiętniki*¹

(fragment)²

DZIECIŃSTWO I PASIONKA

Zanim o tym, kilka słów o rodzicach.

Ojciec wzrostu ponad 175 centymetrów, blondas, o jakby stale pytających, jasnoniebieskich oczach, nosił postrzyżone wąsy i pogodny, życzliwy uśmiech. Małomówny a konkretny i stanowczy, silnie zbudowany, trzymał się prosto jeszcze w swych podeszłych latach.

Matka również blondynka, wzrostu 155–160 centymetrów, o skupionym wyrazie twarzy, szarawym zabarwieniu tęczywek, umiała być i bardzo bliska, i daleka. Postać raczej szczupła i wiotka, w młodości swej podobnie uchodziła za okoliczną piękność. Może to zbyt mocne określenie, ale jej sposób bycia cechowała pełnia godności dla ludzi i siebie i jakaś równowaga życzliwości i rozumnego dystansu. Chętnie widziała u siebie odwiedzające sąsiadki, ale na pogwarki do nich nie chodziła. Jej młodych lat nie pamiętam, ale nie była pozbawiona cech kobiecych. Nawet w swej starości lubiła zakładać resztówkę sznura bursztynów.

Jeden i druga ceniło swe słowo i wymagało dla niego szacunku od innych.

Wzajemny stosunek rodziców do siebie to dla mnie dziś jakiś swoisty urok wspomnień. „Ojciec” czy „Jaś”, „matka” czy „Ludwisia” było ich codziennym zwrotem. Uwagi, może i uszczypliwe, wypowiedane były w pogodnym, żartobliwym tonie. Nie pamiętam ich kłótni ani też podniesionego głosu, co więcej, wulgarne określenia, tak częste na wsi, były w naszym

¹ Antoni Górski urodził się w 1906 r. we wsi Wagi. Uczęszczał do gimnazjum w Łomży. Ukończył Instytut Nauk Handlowo-Gospodarczych w Uniwersytecie w Wilnie. Jego rodzina była spokrewniona z rodem Wagów.

² Prezentujemy materiał zawarty w edytowanych przez prof. Ewę Rogowską-Cybulską *Pamiętnikach* Antoniego Górskiego, które przygotowywała do druku. Wczesne odejście nie pozwoliło doprowadzić do końca tej jednej z wielu aktywności pani Profesor, prezentujących dziedzictwo kulturowe rodzinnych stron jej przodków i regionu łomżyńskiego. Niezwykle cenny dokument, jaki stanowią *Pamiętniki* A. Górskiego, przekazała nam w depozyt pani Maria Kryszajtys, polonistka z II LO w Łomży, córka państwa Górskich z Wag. Niniejszym prezentujemy ich kolejny fragment przed publikacją całości tego cennego źródła łomżyńskiego.

domu nieomal wyeliminowane. Nawet w starszym wieku, gdy któremuś z nas wymknęło się nieodpowiednie słowo, ich surowe spojrzenie wystarczyło, by się tego strzec.

Ważniejsze decyzje były wzajemnie uzgadniane. Kto był tym języczkiem u wagi ostatecznych decyzji, trudno mi dziś rozstrzygnąć. Podział pracy był jak w każdej wiejskiej gospodarce. Do trosk matki należał dom, czuwanie nad liczną dzieciarnią, drób wszelaki, ogródek, len i konopie, a ojciec miał pod swym zarządkiem gumno, pole i łąki oraz pracę z tym związaną.

Dochód babski na tak zwane obkupki stanowił drób i produkty nabiałowe. Dochód z produktów rolnych i hodowli zwierząt był zasadniczo męski, przeznaczony na wydatki związane z prowadzeniem gospodarstwa, a nadwyżki stanowiły wspólny rodzinny kapitał.

Matki przy pracy na polu nie pamiętam. Nic dziwnego, pracy przy tak licznej dzieciarni – dojrzyć, nakarmić, obszyć – wystarczyło aż nadto!

I jeszcze jedno jakby wprowadzenie. Jak wspomniałem, rodzin Godlewskich było w Wagach chyba osiem, o różnych przydomkach, ułatwiających rozeznanie, o kogo chodzi. Byli Doniniuki (synowie Domina), Pietrzuki (synowie Piotra), Serafiniuki (synowie Serafina) i Tomasiuki (synowie Tomasza) z dalszym dodatkiem po Franku, Józefie, Staśku itd. Inne rodziny to Chrostowscy (dwie), Ramotowski, Skrodzki, a później doszedł Konopka i przejściowo Rutkowski.

Każdy szlachcic, że o jej, choć i drukowane nie każdy wydukał.

A teraz już to moje dzieciństwo i najdalszy obrazek z tego okresu. Jest przedpołudnie. Na podwórku kręci się grupka Kozaków zajętych gotowaniem ziemniaków w olbrzymich garach, ustawionych na kamieniach. Gdy zaczęli je spożywać, wpadł z drogi Kozak, coś im obwieścił i wszyscy, przerywając jedzenie, skoczyli na konie, udając się w stronę Jedwabnego. Zostawiony pokarm zeżarły potem świniaki, a ja znalazłem byczą nahajkę, symbol rządu rosyjskiego caratu. Niedługo nią się cieszyłem, po zjawieniu się wojsk niemieckich przyszła bowiem ewakuacja.

Za Wissą stanęły wojska rosyjskie, u nas niemieckie i ze względów strategicznych mieszkańcy wsi z Nadrzecza zostali wysiedleni. Samej ewakuacji nie pamiętam. Snują mi się przed oczami ludzkie postacie z tobołami na plecach, dzieci prowadzone przez starszych za rękę, ale detale znikły. Z późniejszych opowiadań wiem, żeśmy dobrnęli do Radziłowa, zamieszkali u państwa Grzymkowskich, że Żydzi radziłowscy pospieszyli rodzicom z pomocą. Wuj Jaś z Kubry przyjechał po nas furmanką i zabrał do siebie, ale to też się we wspomnieniach

zamazało. Co gorsza, i sam pobyt na Kubrze też został poza moją pamięcią, poza jednym wypadkiem.

Widocznie czułem się tam niezbyt dobrze, bo pewnego dnia po prostu stamtąd uciekłem, kierując się drogą prowadzącą do Wag. Dziś jeszcze mam ją przed oczami. Jakiś zakręt, jakieś kamienne bruczki, za nimi na pewnym odcinku pastwisko, na innym pola i wreszcie wagowski las, Duży Osowy. Towarzyszył mi w tej ucieczce pies Burek. Drogi tej nie znałem, a tylko jej kierunek, gdyż niejednokrotnie widziałem, jak szedł nią ojciec.

Z pająką chleba razowego w kieszeni, z odkrytą głową, bez czapki, stanąłem przed zagadką, bo droga się rozwidlała. „Która, dokąd wiedzie?” – pytałem sam siebie. Wszedłem do lasu, siadłem na pieńku i knota obleciał strach, co dalej. Wreszcie zacząłem cichutko płakać, a potem łkać. Mój towarzysz początkowo kręcił się wokół mnie, potem przyszedł, popatrzył na niefortunnego beksę i zaczął oblizywać ciepłym jęzorem spływające łzy, a ja, objawszy go za szyję, rozbeczałem się na dobre. Szloch przerwały mrówki z pobliskiego mrowiska, które wślaząc pod nogawki, zaczęły mnie niesamowicie ciąć.

Wstałem, otrzepałem się, ale poczucie osamotnienia i bezradność spotęgowały się, bo Burek nastroszył uszy, pokręcił nosem i pognał przed siebie ścieżką, Bóg wie, dokąd i dlaczego. Nieomal szarzało, a ja byłem sam, choć spokojniejszy, z poczuciem potrzeby snu. Siadłem na dużym kamieniu i usłyszałem po chwili głośne szczekanie Burka. Obrażniałem. „Widać wraca, nie zapomniał o mnie” – myślałem, a on wkrótce wynurzył się spoza jałowców, znów zaszczeakał, podbiegł do mnie i zaczął krążyć, tam i z powrotem, przebiegając po ścieżce leśnej. „Zdurniał, dostał kręcka” – oceniłem, pozostając dalej na swym kamieniu. A Burek biegał. Wpatrzyłem się w tę ścieżynę, by w pewnym momencie ujrzeć wyłaniającą się postać ojca i pędem do niego pobiegłem.

Ojciec stanął jak wryty i przygarnął mnie do siebie:

– A co ty tu, dzieciaku, robisz? Skądś się wziął? Mój Boże, o tej porze tutaj w lesie? Co się tam w Kubrze stało?

– Nic, tatu – poinformowałem. – Ja tyloj do Wagow chciałem wrocić.

Ojczysko nie skarcił mnie, ale przytulił mnie mocniej, potem wziął za rękę i powoli wracaliśmy do Kubry, a Burek wokół nas tańczył radośnie. To była moja pierwsza i ostatnia próba samodzielnego powrotu do Wag.

I drugi obrazek z tych czasów. Staś przebywał w Chłudniach. Nie pamiętałem już wyrazu jego twarzy, tylko brodawkę na lewym bodajże policzku. Tęskniłem za nim i zacząłem podpatrywać różnych chłopaków, szukając takiego z brodawką. Znalazłem, ale – rozczarowany – za brata go nie uznałem. Nie odpowiadał mojemu wyobrażeniu.

Wielki to musiał być już chłop, jeżeli widząc, jak żołnierz niemiecki podał mamie trzymającej na rękach Wandę tabliczkę czekolady, a dla mnie nic, zazdrościłem, że nie jestem taki malutki. Co więcej, zapamiętałem pomimo tego słowa owego żołnierza:

– Solche schone Madchen!

Momentu powrotu do Wag, za którymi tak tęskniłem, jednakże nie pamiętam. Nie pamiętam też starych zabudowań ani ich podobnież zupełnej pustki. Uderzyła mnie natomiast dobudowana do zachodniej części chałupy nowa ceglanka, letnia rezydencja miejscowego sztabu wojskowego. Styl budowy niemiecki: obelkowania z drzewa, ułożone wielokierunkowo, wypełniała cegła.

Cały nasz ówczesny inwentarz to podarowana przez wuja Jasia łaciata krowa, para prosiąt, kilka kur i nasz Burek. Po kilku dniach wuj Chutkowski z Małej Skrody dowiózł coś mąki, szperki i pełną furę zboża. Od Mroczkowskich z Wypych doszły ziemniaki – i gospodarz tu na pustce. Reszta rodziny albo także była wysiedlona, albo – jak Chłudzińscy – wrócili ze wschodu do podobnej jak my pustki. Jak i skąd ojciec zdobył konie, nie wiem, bo sprzęt zawdzięczał Żydom jedwabieńskim, na bezprocentowy jakoby kredyt.

W środku gumna i po jego zewnętrznej stronie leżały przeróżne śmieci, pozostałości po żołnierskim pobycie. Myszkowałem w tym, by znaleźć w niektórych workach papierowych resztki nierafinowanego żółtego cukru, nóż kuchenny i – ku swej wielkiej radości – scyzoryk o dwóch nożykach z grajcarciem o ładnej, polerowanej okładzinie. Były tam także paczuski z naftaliną. Gdy jedną z nich otwarłem i stwierdziłem, że śmierdzi, rzuciłem ją nieopatrznie pod wiatr na łeb Burka. A skutek? Obaj zaczęliśmy potwornie kichać. Burek przynajmniej swoście się zemścił, bo podnosząc nogę, skropił torebki, podarł niektóre tylnymi nogami, a połknąwszy przy tym większą porcję nieprzyjemnego zapachu, pobiegł do krypy i wypłukał pyszczydło. A ja? Prychałem dalej, wycierając łapami lub rękawem spływające łzy.

Znajdowałem również gwoździe rozmaitej wielkości i w różnej ilości. Te stosownie do zlecenia ojca wrzucałem do bandorki (puszka blaszana po konserwach). Udało mi się wyszperać cęgi, młotek z odłamanym trzonkiem, kilka małych saperskich łopatek, ale – poza kilkoma paczkami sucharów w stodole – nic z żywności. A żerunów było sporo. Jak rodzice rozwiązywali ten problem, nie wiem, ale pamiętam, że podstawową strawą w piątek, świątek i niedzielę była jakaś zalewajka (bodajże żytnia gotowana mąka), gotowana trzy razy na dzień.

W tym czasie miałem osobiste głębokie przeżycie. Zdechł Burek. Musiał biedaczysko czymś się otruć, bo przestał jeść i chudł coraz bardziej. Myszkował wśród traw, wybierał i zjadał jakieś zioła, ale to go nie uratowało. Zginął. Ojciec powiedział, że zwierzę na miejsce

swej śmierci wybiera zaciszny kącik i żegna ten świat na osobności. Szukając Burka na podstawie tych wskazówek, znalazłem go pod podłogą spichrza.

Niespodziewanie powrócił do domu Staś. Jakże serdecznie go witałem, obcałowując tę jego brodawkę. To on pomógł mi wykopać w sadzie dół. Tam, pod słodką jabłoneczką, spoczął mój Burek. Przykryłem go darnią, a na wierzchu ułożyłem na krzyż dwa białe brzożowe śpele (patyki). Staś tłumaczył mi, że psa nie godzi się obdarzać znakiem krzyża, ale ja trwałem przy swoim, że i pies ma duszę, może psią, ale ma.

Do dziś pamiętam to miejsce pochówku i fakt, jak sprąłem Wandę za to, że wzięła do zabawy jeden z tych brzożowych śpeli. A także słowa ojca, który kładąc swą rękę na mej łepetynie, rzekł:

– Nie bec, postaram się o nastędnika (zastępcę).

Istotnie, po kilku dniach stała przed budą duża żółta suka Mucha. Skumaliśmy się łatwo, ale żaden pies nigdy już nie zastąpił mi mego Burka. A Mucha strzegła obejścia. Spuszczana wieczorem, z łańcucha, obiegała wokół zabudowania, lokując się potem w kącie pomiędzy spichrzem i pojazdem. Została otruta, a w dwa dni potem zniknął z naszej obory jednoroczny byczek. Posądzano o kradzież Cyganów, stacjonujących wówczas w przytułskim lesie. Już nie ja, ale Staś zakopał Muchę. Ja tylko odplaciłem mu pięknym za nadobne, bo kiedyś nazwał mnie „psim tatą”. Teraz, gdy kończył przysypywanie Muchy ziemią, szepnąłem:

– No i co, suczy tato? Zmordowałeś się?

I odskoczyłem od niego, by nie oberwać po łbie.

Miejsce Muchy zajął jej syn Bukiet, wówczas podrosły szczeniak, a potem olbrzymie psisko.

W tym swoim przedszkolnym okresie życia lubiłem majstrować jakieś tam brony i pługi, ale wszystko to się szybko rozsypywało, podobnie jak formowane z gliny zwierzęta. Jakaż to mogła być majsterka, gdy nie wolno mi było brać kawałka zdrowej deski czy gwoździa! Te przepalone ćwieki mogłem zatrzymać, ale w pełni przydatne – broń Panie Boże! Toteż kilka razy przyłapano mnie na tym, że wrzucałem zdrowe deski w rozżarzone węgle pod kuchnią, by mieć przypalone.

– Przygłupku – skarcił mnie ojciec. – Jeszcze raz, a pas pójdzie w ruch.

I skończyła się ta majsterka z drzewa, a lepienie z gliny także już niedługo trwało.

Nieco na uboczu, wkomponowany w sad, pomiędzy chatą a studziennym żurawiem, znajdował się sklepik (piwniczka), głęboko osadzony w ziemi, a nad nim graciarnia przykryta daszkiem. Był to doskonały izolator i regulator temperatury. Otworzywszy masywne drzwi,

wchodziło się do tego sklepu stromymi schodami. Naprzeciw wejścia znajdowała się przegroda, oddzielna część na przechowywanie ziemniaków, a tuż przy końcu schodów po obu stronach zainstalowane były półki i półeczki, a na nich stały różne garnki, dzieże i dzieżki (często odrutowane) z kwaśnym mlekiem lub śmietaną. Niekiedy wyszperałem tam i oselkę masła, owiniętą w kawałek lnianej szmatki.

Zakradłem się tam, by polizać masło, nie pozostawiając śladu ni uszczerbku lub by pochleptać nieco śmietany. Tu ubytek był widoczny i zaczęto podejrzewać kota, choć niepodobne, żeby tyle wyżarł. Ale wpadłem, bo w pośpiechu zostawiłem na pyszczydle nieco śmietany.

– No – zawołała mama. – Kot śmietany się odnalazł! Oj, Antoś, Antoś, co z Ciebie wyrośnie? Skodnik i tyle.

Czmychnąłem bez słowa za drzwi, by nie oberwać po portkach, ale na drzwiach sklepu pojawiła się kłódka.

Kury wówczas siedziały w czasie zimowym na grzędach w sieni, a w ciepłym okresie w jednym z chlewów. Każdego dnia przed wypuszczeniem na podwórko macano je. Te z jajem wpuszczano do oddzielnej kajuty, a te bez jaja wypuszczano za drzwi. Niedokładność macania miała ten skutek, że niektóre składały jaja w różnych miejscach na swobodzie. Przypadkowo odkryłem takie dzikie gniazdo z kilku jajami i nauczyłem się je spożywać z chlebem lub bez chleba, rzucając skorupki byle gdzie. Baby otrzymały od ojca za swoje, że nawet kokosy dokładnie pomacać nie umięją i scorow karnią. I scor podjadał jajka, zanim nie spożył starych i załęgłych i nie dostał wielgachnej laksy. Ta, połączona z wysiadywaniem za stodołą, wymęczyła mnie tak, że straciłem chęć spożywania znalezionych jaj. Scory tozes przepadli.

W owych czasach, chociaż krów powoli przybywało, było ich nadal o połowę mniej jak gąb do wykarmienia, niewiele też było nierogacizny. Na podwórku dominował drób. Cały dochód ze sprzedaży drobiu i nabiału szedł na drobne, bieżące babskie wydatki. Cóż, sześć istot płci niewieściej trzeba było jakoś przyodziać, toteż na środowe jarmarki w Jedwabnem wiozło się, kosztem żołądków, pełny kosz. Przetwory nabiałowe spożywało się tylko na bielach (łąki nad Wisą) przy kośbie, grabieniu i stożeniu, a także na miejscu w czasie żniw. Niekiedy tylko, i to wyłącznie latem, przy większej podaży mleka, smarowano pajdki chleba masłem, bezpośrednio po jego ubiciu, młodszej dziatwie. Reszta mogła tylko na to popatrzeć. Zimą często i te najmłodsze dzieci obywały się bez mleka, bo trzeba było nim osiwieć kaszę na śniadanie dla wszystkich.

Śniadanie! To już było dobrze, gdy po pewnym czasie od wygnania było w bród ziemniaków, w kapuście czy barszczu oczko tłuszczu mrugało do sąsiedniego oczka, a na

powierzchni tych ziemniaków mogłeś opodać ujrzeć skwarkę. Ba, kluchy z żytniej mąki, tak zwana zacierka, były zabielaone mlekiem albo też zasmerlane (okraszone) skwarkami. Fasolę albo groch jadało się na sucho. Właściwie jadłospis śniadaniowy, obiadowy czy też kolacyjny niewiele się różnił. Dodatkowy w międzyczasie posiłek to skibka razowca z mlekiem albo gdy go nie starczało, z cebulą. Niektóre rodziny to nawet i ten czarny chlebuś, wypiekany we własnym zakresie, ograniczały tylko dla dzieciarni, zwłaszcza na przednówku.

Na ławie spożywczej stały michy, miski i miseczki, a wokół niej na stołeczkach zasiadała rodzinka. Po jadło ze wspólnej miski sięgało się drewnianą łyżką. Metalowe pojawiły się później. Tymi łyżkami dziatwa niekiedy wzajemnie się poskramała, gdy któreś dziecko chciało szperać za skwarką albo z wierzchu zupy zbierać tłuszcz. Łycha szła też w ruch, gdy zakatarzony nie uporządkował zwisającego gila (sopła z nosa). Poskromiony delikwent w pierwszym wypadku uśmiechał się głupkowato, ale zaprzestawał zabiegów, w drugim ocierał nochala rękawem, bo chusteczki do nosa na co dzień nie stosowano. Ileż by takich było trzeba? Chwyć za nos, lekkie nasilenie, ruch szarmancki i wysięk padał na ziemię... Te łyżkowe upomnienia trzeba było ukrywać przed rodzicami, bo przy nieudanej próbie jedno i drugie dziecko było karane. Wszak przy spożywaniu daru Bożego i owocu pracy rodzinnej należy zachowywać się godnie. Godnie je też zaczynało i kończono, żegnając się i głośno wypowiadając słowa Krzyża Świętego.

W piątek każdego tygodnia obowiązywał post ścisły, bez mleka i jakichkolwiek tłuszczów. Oleju rzepakowego tłoczonego w Radziłowie było zbyt mało. Przeznaczano go na Wielki Post. Jeszcze na początku lat trzydziestych tylko w czwartki i niedziele jadało się tłuściej, spożywając stykielek (kawałek) mięsa. Tak zwane skwary pojawiły się w kilka lat później i to tylko dla chłopów, podczas cięższej pracy. Podobnie jajecznicą na skwarkach, zwłaszcza że pięć, sześć jaj na łebek to bywało i przymało. Ród babski musiał zadawałać się czym innym, choćby pempuchami. Twierdziło się powszechnie, że dawnymi laty w półpościu tłukło się garnki, by gotowanego nie spożywać. Czym się odżywiano, fama milczy. A może to tylko bajeczka, podświadoma pocięcha, że dzisiaj jest lepiej?

Jednego razu, w czasie postu i choroby, zasnęłam i matczyśko podgrzało mi ziemniaki na rzepakowym oleju. Były dla mnie przesmaczonym rarytasem i potem celowo dłużej leżałam, zanim nie usłyszałam:

– Nie strugaj głupka, zdrowyś! Wstawaj!

Pajda chleba zroszona tym olejem i posypana lekko solą także była dla nas smakołykiem. Czy rzepak ówczesny, zbierany z niezatrutego chemicznie pola, był

smaczniejszy, czy prymitywny sposób tłoczenia dawał w efekcie lepszy posmak oleju, czy też gęba była inna – trudno dziś dociec.

Mój świątek dziecięcy, bez żadnych obowiązków, powoli zanikał. Początkowo padały pojedyncze nakazy, a potem pojawiły się i długofalowe zlecenia.

– Antoś, a zeno zawołaj chłopów na śniadanie... Dopilnuj, żeby wrona pisklaka nie porwała... A dorzuć drew w angielce... A poleć po drewka czy chrust... A zrób pójkę dla cielaków... A usiekaj dla nich kartofli i zanieś... A weź szmatę i wyrwij zegawki (pokrzywy) pod płotem.

Te obowiązki w nieuchwytny sposób zapręgały mnie już do wspólnego kierata rodzinnego życia. W następnej fazie doszło donoszenie snopków zboża przy stawianiu dziesiątków w czasie żniw, wrywanie naci ziemniaczanej przy wykopkach, motanie szpulek z lnianą przędzą na półłokciówkę, zwijanie kłębków nici z przęseł zawieszonych ma wituchach lub skrobanie ziemniaków.

Może fakt, że nie widziałem w domu nikogo z dorosłych czy dorastających, kto by próżnował, ułatwiał mi zespolenie w pracy, a może sposób jej dawkowania był właściwy, bowiem wewnętrznego buntu nie odczuwałem, a najczęściej czułem wręcz dumę, że i ja to potrafię. Wszak i chłopcy po młócce w stodole nie siedzieli po kolacji beczynnie. Kręciło się bicze, pęta, powrozy, naprawiało się grabie itd. Oczywiście nie zawsze mi to odpowiadało, ale tłumaczenie się „nie mogę, nie zrobię” było nie do pomyślenia.

Gdy przy motaniu cienkiej przędzy lnianej przeciąłem sobie naskórek do żywego ciała i skrzywiony, pokazałem to matce, obwiązała mi paluch szmatką, konkludując:

– No, ganiaj, ganiaj, tyle jej do motania. Po próżnicy lubisz latać, to i tu polataj!

Jednego dnia matczysko posłała mnie po wodę do studni. Byłem wtedy najstarszy pod ręką. Wziąłem lżejsze, blaszane wiaderko, postawiłem je przed studnią i zajrzałem do zwisającego przy kluczce drewnianego wiadra, czy przypadkiem nie ma w nim wody. Nie było. Chwyciłem za kluczkę i z wielkim wysiłkiem zacząłem ciągnąć na dół. „Przecież mama wie, co ja potrafię” – myślałem wtedy, opierając się mocno o drewniany zrąb studni. Zdało mi się, że wiadro doszło, dotknęło wody, ale, niestety, na dalsze pociągnięcie sił nie starczyło. Ręce pośliznęły się po kluczce, kluczka poszła do góry i smyk z impetem stuknął dolną swą częścią o ziemię, spadając z zębatki umieszczonej w środku stacji studziennej, o czym nie wiedziałem. Zrozpaczony, że wody nie przyniosę, spojrzałem, a tu krypa prawie w połowie napelniona była wodą. I zacząłem radośnie przelewać ją garściami do wiaderka, by zuchowato zadźwigać do chałupy i obwieścić:

– Mamu, woda je.

Mama zaczerpnęła wody kubkiem, spojrzała na mnie i zawołała:

– A coześ tu za paskudztwo przynios? Spójrzysz zeno, pełno kryptowej, zielonej zawiesiny!

A było tego sporo, było... Kiedy wyjaśniłem, że mi się kluczka wymknęła, matczyśko sama poszła po wodę, ale jej nie przyniosła, bo unieruchomiłem studnię i musiała iść do sąsiadów. W południe dopiero, gdy chłopcy powrócili z pola na obiad, żuraw został osadzony jak należy i wodę można było czerpać, ale ojciec przykazał:

– Nie cepiaj się tego, do czegoś niezdatny, a rob to, co mozes.

A zwracając się do matki, dorzucił:

– Toć to jesse bach, nie jemu wodę cierzpać!

Od wczesnej wiosny do jesiennych przymrozków chodziło się boso, nawet po ostrych, żytnich rzyskach. Kto by aż tak do reszty zgłupiał, żeby za ciężki pieniądz kupować chodaki i w niech golenie gnoić? Zimą tak, każdy miał jakie takie obuwie. Dzieci, żeby miały w czym w ścianki lub do ogródka wyskoczyć, dorosli do pracy lub do ludzi. Baby nosiły trzewiki sznurowane, chłopcy buciorzy z cholewami albo kamasze. Te codzienne buciorzy były ciężkie, zawsze o bodajże dwa numery większe, by i ściółkę słomianą, i goleń obwiniętą onuczka pomieścić, a ponadto wiadomo: trochę luzu zapewnia więcej ciepła.

Różnie z tym obuwem w różnych rodzinach bywało. Niejeden bachor dreptał do kościoła boso, zapekał po drodze nożęta, obtarł je trawą albo i nie – i wchodził do kościoła, maczając palce w kropielnicy ze święconą wodą, by się zbożnie przeżegnać. Wchodził, gapił się na wielki ołtarz, na stacje gorzkich żali i obrazy i szeptał wyuczone słowa paciorka, a dobry Bóg jakoś go stamtela (stamtąd) nie przeganiał. Bóg nie, tylko ludzie poznawali, że tamoj je jesse gorzej jak u nas, jesse biedniej.

Starzy – jak starzy, do kościoła, na konkury, dobitki, opatry, zapowiedzi, ślub czy weselisko zawsze wzuwali chodaki, ale w pierwszych latach po wojnie i panny, i kawalerczaki na muzykach (potańcówkach) śmigali boso. Nawet lżej się tańcowało, choć przytup był słabszy. Niejeden chłop to i na jarmark, i do gminy szedł boso, niosąc obuwie w ręku, by dopiero przed Przytułami sięść na kamieniach, obetrzeć goleniska trawą, owinąć onuczka i wzuć chodaki. Niekiedy to i obrazy Boskiej przy tym ździebko było, kiedy baba niechcący podniosła goleń nieco wyżej, a chłop spozierał ciekawie, jakie to stopory ma dalej. Z biegiem czasu z tych kamieni, w miarę wzrostu dobrobytu, zniknęły najpierw sylwetki chłopskie, potem babskie, a na końcu dzieciarni.

Oczywiście, w okresie swego dzieciństwa i ja to przeżywałem. Zgrubiałe podstopie w zasadzie chroniło przed urazami, ale odbitki na piętach, leczone plastrami świeżej słoniny albo liśćmi babki, były bolesne. Również przebicie stopy gwoździami albo cierniem nie należały do rzadkości, a ostre rżyska po kosie też pozostawiały w okolicy kostek lub między palcami czerwone pręgi zadrapanej skóry, ale mimo to biegało się dalej i uodporniony organizm nie dopuszczał do zakażenia tężcem.

Czas biegł i po Jadzi objąłem funkcję gęsiego pastuszka-gęsiarza. Wtedy hodowano ich po dwadzieścia do trzydziestu sztuk. Bezpośrednio po wylęgu siedziały te pisklęta w różnych kojcach wysłanych szmatą, a po kilku dniach, zależnie od pogody, wynoszono je na murawę, na wolną przestrzeń. I tu zaczynała się moja odpowiedzialność, by takiego wrona czy krogulec nie porwał, by nie odsiepnął się, by miał zawsze żer i wody w bród.

Małe gąsiaki pasłem na zielonych skrawkach w pobliżu domu, a gdy podrosły – na Gnatach albo Pod Dębem, wspólnie z innymi gęsiarzami. Pod Dębem było tłoczniej, ale weselej. Skakanki poprzez rozłożone na syperkach tyczki, rzucanie kamykami, biegi, mocowanie, a niekiedy i wspólne piskliwe śpiewy skracały czas. Na Gnatach pasła gęsi tylko Kazia z sąsiedniej chałupy, czasem odwiedził nas któryś z rówieśników, ale to nie było wesołe gromadne Poddębie.

W rzucaniu kamykami do celu osiągnąłem nawet niezłą precyzję. A efekt? W głupocie swej próbowałem za którymś razem trafić gąsiaka. Trafiłem za pierwszym i to w łeb. Przewrócił się, pomachał płetwami nóg i znieruchomiał. Znieruchomiałem i ja. Jadzia wzięła trupka i zaniósła go do chałupy, gdzie stwierdzono:

– Smarkocina, nie nadaje się do gotowania i spożycia.

Po powrocie stwierdziła:

– No, szykuj portki do trzepanki.

Straciłem humor i werwę do zabawy, a gdy w końcu dnia zapędziłem swą trzodę na podwórko, spotkawszy matkę, przyznałem się do winy.

– To zakop go potem w sadku, a tera posłuchaj – oświadczyła. – Jesienią i zimą chowa się gęsi nioski, żeby na wiosnę zniosły jaja. Zniosą, to potem nasiadki siedzą na nich kilka tygodni. Ile z tem termięgi i smrodu w chałupie, a potem z pisklętami, zanim wyrosnie taki, jakiego zabiłeś, to i sam wiesz. Zabiłeś z głupoty stworzenie Boże i zniszczyłeś trochę pracy ludzkiej, a przy tem przekroczyłeś przykazanie Boskie „Nie zabijaj”. Nie bądź roztrzeпаńcem, niej choć ździebło oleju we łbie, nie tyloj kiełbie czy sieckie.

Portki były całe, ale rzucać kamykami przestałem.

„A jak ciarachnę któregoś chłopca w łeb albo oko wybiję, to co będzie?” – myślałem po matczyńskich uwagach.

Ale jak zwykle wypadków nie brak. Bodajże w rok później, gdy w czasie pasionki Pod Dębem bawiliśmy się świetnie, przebiegły lis wykorzystał to, podkraść mego gąsiorka i choć od razu popędziliśmy za nim, zniknął w gęstych krzakach olszyny. Pędząc wieczorem gąsięta do domu, przeliczyłem je dokładnie i, niestety, jednego brakło. Przyznałem się z miejsca, a wieczorem ojciec, po stwierdzeniu „Ot, gapa, a nie pastuch”, orzekł:

– Od jutra masz paść gąsiaki tyloj na Gnatach, a nie Pod Dębem. Moze prędzej dopilnujes rodzinnego dobytku.

I tak skończyło się moje gromadne pasienie. Tu, nieomal samotny, zająłem się bliżej gąsiętami. Rwałem koniczynkę, podawałem im, a one powoli zaczęły jeden za drugim jeść mi z ręki, przyzwyczajając się nawet do okruszyn chleba. Syte, nierzadko siadywały w pobliżu moich nóg, chowały dzioby pod skrzydła, zasypiając spokojnie. W efekcie tego zbliżenia brałem ze sobą coraz większe glenie razowca, by mieć czym podzielić się z bardziej obłaskawionymi osobnikami i – choć w innym znaczeniu – zadbać o ten rodzinny dobytek.

Oczywiście dawały mi się we znaki zimne deszcze i wichury. Ziębnięty bosa pastuszek biegał wtedy albo okładał się łapiętami, żeby się ogrzać, zanim ktoś nie przyszedł na wymianę albo z oświadczeniem:

– Goń do domu, bo do restry przemarzniesz!

Gęsiarzem byłem bodajże tylko dwa sezony. Gęsi zapaskudzały smugi i wyszczypywały trawę, a przecież przybyło bydła i koni. Po gęsiach nie pozostawało dla nich już nic do żeru, więc uchwałą gromadzkiej rady postanowiono, że na smugach gęsi nie wolno pasać. Kto chce, niech je chowa przy zagrodzie. I tak gęsi trafiły do ogródków, trawę zastąpiły plewy z dodatkiem ziemniaków, a jesienią, gdy je przed sprzedażą podtuczano, i osypki. Sprzedawano je żywe, bo za żywe płacono więcej niż za zabite, oskubane z piór i puchu. Na stół rodzinny niewiele trafiało, bo grosz zawsze był potrzebny.

Odetchnąłem z ulgą, choć przyszły nowe obowiązki związane z gęsiami, dostarczaniem im trawy i młodych pokrzyw. Nie był to jednak stały dozór, lecz czynności wykonywane na doraźne polecenie.

Licho nadało, że na ugorze próbowano wypasać świnię i przyszło mi w tym uczestniczyć w roli kolejnika. Z całej wsi wypędzano maciory z prosiętami, plewniaki i tak zwane rozparzańce (w pierwszej fazie tuczenia). Najpierw wszystko to tuczyło się trawą, potem maciory kładły się w cieniu dzikich grusz, jabłoni czy rosnących na miedzach krzaków, a podroślaki, gdy przygrzało słońce i giez był bardziej kąśliwy, uciekały w różnych kierunkach

brudami zagonów. Zawróciłem jedno, pędziłem po drugie – ani chwili odpoczynku. Szczęściem, to była tylko półroczna próba. Ale nieraz dostojny opiekun, wyposażony w pałkę i bicz, a we własnym zakresie i w kamyki, pobeczał się, pędzając bezradnie tam i nazad.

Następnym moim awansem była pasionka bydła z całej wsi na gromadzkich smugach, także w roli kolejnika, pomocnika pasterza. Kolejnik, bo z kolei każde gospodarstwo kierowało jakiegoś bębna na ilość dni zależną od ilości bydła, cieląt czy owiec i w tym czasie obowiązane było żywić pasterza. Pasterz, zgodzony za określoną ilość korców zboża, worków ziemniaków, a czasem i funtów słoniny, płatnych po okresie pasienia, czuwał nad powierzoną mu trzodą.

Z rana trąbka pasterska, grając swój hejnał, przypominała o obowiązku wypędzania bydła na środek wsi, skąd już szło w tym czy innym kierunku na pastwisko, zależnie od decyzji pasterza. Około godziny jedenastej trzoda wracała z tak zwanego poranku, by po obiedzie około godziny trzeciej lub czwartej znów wracać, ale na inną połąć pastwiska. Pastwiska te obramowane były polami, a wśród całej trzody nie brakowało tak zwanych szkodnic, które tylko czyhały, by niepostrzeżenie wymknąć się w zboża. Na smugach węższych, a przy tym kolczastych i pasterz, i kolejnik mieli co robić. W okresie gorącego lata i nasilenia wylęgu robactwa gzonka bydłęca była nader uciążliwa, bo cięte przez gzy bydłeta pędziły na pola, w zboże, by je zżerać i deptać.

Najuciążliwsze dla mnie było wczesne wstawanie, jeszcze przed trąbką pasterską. Co więcej, raniutko, tuż po wschodzie słońca, rosa była zimna, a nogi bose, temperatura otoczenia też chłodnawa i trzeba było brać ze sobą coś cieplejszego, a potem nieprzydatne okrycie dźwigać. I nie tylko okrycie, ale jeszcze pałeczkę z jałowca czy leszczyny i długi bicz osadzony na jałowcowym batogu, boć przecież palcem bydlaka nie przepędzisz ze szkody.

W zasadzie pasterz pilnował jednej strony pól, a kolejnik drugiej, uważając przede wszystkim na szkodnice. Kiedy najedzone sztuki kładły się na ziemię i przeżuwały karmę, odpoczywało się spokojnie i można było posłuchać bajania pasterzy.

Pierwszym z nich był dla mnie Białorusin Miszko. Starszy, w wieku około sześćdziesięciu lat, brodaty, po przepędzeniu bolszewików został w Polsce, bo nie miał ani do kogo, ani do czego wracać. Rodzina zginęła w czasie rewolucji, zabudowania zostały spalone, najmłodszy rebionek spalił się w czasie pożaru, a ziemię przyłączono do kołchozu. Mówiąc, przeplatał słowa polskie, białoruskie czy rosyjskie, ale jakoś rozumiałem, o co chodzi. W bolszewickiej armii pełnił rolę woźnicy. Kiedy opowiadał o życiu przed rewolucją i po niej, to pierwsze chwalił, drugie ganił, używając soczystych słów oburzenia.

– Ja do Polaków nie strelał, tolko w les. Polaki toż ludzie i sąsiady – dodawał.

Nieraz z jego niebieskich oczu spływała łza, gdy gawędę kończył słowami:

– Wsio propało, ziemia, rebionki, propał ja, job jewo mać!

Ale pomimo tego po dwóch pasterzowaniach odszedł na Białoruś, mówiąc:

– Wot, znajecie, radnaja strana, a kak staryk potem pokatula?

Nosił łapcie, które sam sporządzał z łyka wierzby. Zrobił takie i dla mnie. Były lekkie i wygodne, ale niedługotrwałe.

Cierpiał na tak zwaną kurzą ślepotę. Niewiele widział po zachodzie słońca. Chcąc mu pomóc, matka moja, zgodnie z recepturą ludowego lecznictwa, zabiła kurę i ugotowała oddzielnie wątrobę, przykazując najpierw przetrzeć nią oczy, a potem skonsumować, powolutku przeżuwać. Miszka wziął wątrobę do ręki, popatrzył na nią i orzekł:

– Wot smerda, malusia.

Ale zjadł. Matka na to:

– Cłeku, toć to kokosia. To nie krowa, to i musi być mała.

Żał mi było Miszki. Rozmyślałem, jak mu pomóc. Chciałem nawet okaleczyć kurę, by miał tę wątrobkę, ale nie uczyniłem tego. Natomiast po świniobiciu, gdy gotowano wątrobę, poprosiłem o jej kawałek dla Miszki. Matka stwierdziła:

– Jak głupi, tak dobre serce.

Odcięła jednak kawałek, przestrzegając:

– Tyloj sam nie zećpaj, zanieś.

Zaniosłem. Miszka wziął do ręki i wyrzekł swoje:

– Balszoje spasibo.

Gdy powtórzyłem te słowa matce, wytłumaczyła mi ich znaczenie, stwierdzając:

– No widzisz, grzeczny cłek.

Jednego z odwieczerzy, gdy na rżyskach pod Dużym Osowym pasłem było sam, bo Miszka zachorzał, z przerażeniem ujrzałem zbliżającego się do owiec wilka. Rezonu nie jednak straciłem i przyjętym zwyczajem zacząłem wołać, ile tchu w piersiach:

– Tuj go! Zalaluj go! Goń go!

Powtarzałem to wielokrotnie. Wilk zatrzymał się i zdało mi się, że idzie w moim kierunku. Chwyciłem kamień i rzuciłem go, a gdy upadł w pobliżu wilka, czmychnąłem na rosochatą wierzbę, wspinając się jak najszybciej razem ze swoją pałeczką. Tu, już pewny siebie, zacząłem nią uderzać o konary wierzby. Odgłos uderzeń potęgowała przedwieczorna podleśna cisza. Nikogo w pobliżu nie widząc, wykrzykiwałem dalej:

– A tuj go!

Kiedy wilczysko zrezygnowało z owcy i zniknęło w lesie, zląłem z wierzby i od razu, jeszcze przed zachodem słońca, pogałem bydło do wsi.

Kiedy opowiedziałem w domu o wilczych odwiedzinach, Staś zapytał:

– A w portkach masz sucho?

Wybuch śmiechu zakończył całe zajście, bez żadnych rozczułań.

Następnego dnia, a była to niedziela, już sam nie chciałem wyruszać do pasionki, dołączył zatem do mnie Staś. Tym razem paśliśmy bydło na rżyskach ulaskowych pod Trzaskami. Przestrzeń była szeroka, widoczność wspaniała, toteż siedząc na miedzy, gawędziliśmy spokojnie. Ale gdy się podniosłem, znów ujrzałem wilka, trzymającego owcę za podgardle. Wrzasnąłem, a Staś przegonił go kamieniami. Owca nieco krwawiła, ale żyła i wydobrzała.

W poniedziałek już był kolejnik z innej chałupy, a w dodatku Miszka wyzdrowiał.

Następnego roku po odejściu Miszki pasterzem był starszy człowiek, Popławski zwany Popławem, z Kubry. Był to bazarz na temat żywotów wielu świętych, a ponadto producent koszy. Z jałowca plótlł kosze do ziemniaków, a ze złotochy (wikliny) i korzeni sosnowych na potrzeby babskie, na jaja, sery i osełki masła, które kobiety wiozły lub niosły na jarmark. A koszyki to były kształtne, starannie wykonane i łatwo było poznać wyrób Popława.

Tłumaczył mi cierpliwie, jak należy przygotowywać kabłąki i kabłączki, wyrabiać łyko jałowca i korzeni, osadzać i przeplatać, a przy tym nie marnować. Jego brzozone miotły miały taki ładny kształt. Coś z tej jego koszykarskiej sztuki przejąłem i w wiele lat później, w czasach okupacji drugiej wojny światowej i dalszych, plółem je i do użytku gospodarczego, i do zabawy dla bratanków.

Kiedy swój pierwszy kosz wiklinowy wręczyłem matce, chwając się, że to moja robota, obejrzała go dokładnie, by orzec:

– To nie Popława robota, ale musi i nie twoja. Dla niego za paskudna, dla ciebie za ładna.

Ucałowała mnie w plik (czoło) i zleciła nową plecionkę: ochraniacz na sery.

We wschodnim szczycie chaty znajdowało się okienko, a poniżej niego półeczka do suszenia serów, które obdziobywały wścibskie wróble. By uchronić je przed tym, miałem upleść odpowiednią pokrywę, niezbyt gęstą i zdatną do uruchamiania. Udało mi się, a matczyisko na to:

– Niezły majsterek, może i z ciebie cłek wyrośnie. Może i z twojego łba powoli plewy i siecka się wykruso.

Popław niekiedy bajczył o swojej młodości, jak dziewczuchy podpatrywał, za co je podszczypywał i jak one się przy tym zachowywały, a że był pochodzenia szlacheckiego, choć pasterz, czuł się równy gospodarzom.

Jednego razu, gdy wiadomo było, że jego syn będzie grał na harmonii na muzyce (potańcówce) w Wagach, zaczął przy mnie jedną z dziewcząt (Stefcię), doradzając:

– Ty sie, dziewucho, przygotuj, wymoc sie w strudze, wyklep cycuchy, coby stercały i bodły kawalerow, a goleniska nie były brudne.

Doradzał i chłopakom, ale tych rad to ani krzty nie rozumiałem, bo padały słowa: „tyloj bez obrazu Boskiej”.

A zabawa? Jeśli odbywała się w naszej ceglance, to wynoszono z największej szkolnej sali ławki, pozostawiając tylko te przy ścianach, by starzy mieli, gdzie usiąść. Jeśli w innej chałupie, to miejsce przygotowywano podobnie.

Grał harmonista, a bęben, dźwięcząc doczepionym dzwoneczkiem i blaszkami, wybijał takt walczyka, poleczki, chodzonego, sztajerka lub oberka.

Dziewuchy boso zamiatały długimi spódnicami kurz, a objęte mocnym ramieniem partnera sunęły z życiem, radośnie. Dreptanie w poleczce czy sztajerku nie miało dla mnie już takiego wdzięku, ale porywał mnie oberek. Ten szał, ta szybkość w lewo, w prawo, z hołubcem, z przyklękaniem, ze zwodzonym, urzekały mnie, gdy obserwując taniec, stałem gdzieś na uboczu, z myślami, czy ja tak potrafię.

Młodzież tańczyła zawzięcie, ale i o starych nie zapominano. Od czasu do czasu padały słowa:

– A tera dla starech.

I młody nie śmiał wtedy do tańca wychodzić. A starzy, jak starzy, wolniej, ale dostojniej posuwali się, biorąc do tańca też leciwe baby, potem młodsze mężatki, a gdy tych zabrakło, dopiero dziewczyny. Hołubce były cichsze, słabsze, a przysiady czas wywiał.

W przerwach przestrzegano, by parki nie czmychały poza chałupę. To nie uchodzi i nie godzi się, a jęzory były cięte, oj, cięte.

Gdy zmęczona dziewczucha mocniej oparła się o chłopca, oceniano:

– Lepi się kiej ta mucha w miodzie.

Gdy chłopak zbyt dziarsko przyciskał dziewczuchę, drwiono:

– Pazernik, zer by to, co do niego nie należy.

A gdy tańczyli nieco zwawiej, padała uwaga:

– Uwazajta, zara grochowiny zacno sie sypać.

Kiedy muzykanci szli na poczęstunek, chałupa drgała chóralnym śpiewem i młodych, i starych. Starczy bas jak postękiwanie wołu, bekliwy tenor młodszego, alt czy sopran babski mieszały się niezharmonizowane, na dziko, byle głośniejsze i dobitniejsze. Starzy śpiewali piosenki

swej młodości, młodzi te świeże, aktualne i niechcący powstawała spójnia. Przeszłość nie była dla młodych obca, oj nie.

Na skrawkach pustej przestrzeni izby dreptała dzieciarnia, a wśród niej i mnie nie mogło zabraknąć. Jedno drugiego obejmowało, w ciasnym kąciku tańczyło, naśladując starszych.

Jednego razu, gdy w naszej ceglance zabrzmiała harmonia, pasłem właśnie świnie na ugorze tuż za drogą. Ileż udręki wtedy przeżywałem, słysząc granie, a nie uczestnicząc w dziecięcych podskokach na dostępnym skrawku podłogi. „Tam grają, tańczą, śmieją się, a ja tu przy świniach, chyba najgorszy jestem” – myślałem zrozpaczony. Ale wkrótce przełamałem się i traktując swój pastuszy kijek jak partnera, zacząłem w takt bębna po swojemu podskakiwać. Niedługo po tym moim występie przybiegła Jadzia, oświadczając:

– Mama gada, cobyś świnie zagnał do chlewa.

Zapędziłem świnie, wpadłem do kuchni, chwyciłem pempucha, a matczyśko do mnie:

– Gembe umyj, przecie do ludzi idzies.

Patrzyła na mnie ciepło.

Na taką muzykę (zabawę) przychodzili kawalerowie z sąsiednich wsi, zapraszani przez rówieśników. Bez zaproszenia nie zjawił się żaden z szanujących się kawalerów. Nie tylko stan nietrzeźwości, ale i odór alkoholowy powodował, że i tutejszych, i zagraniczników starano się później ze swego grona eliminować. Dziewczęta były tylko tutejsze, ze wsi sąsiedniej w muzyce żadna nie uczestniczyła, boby zaraz uzyskała przydomek „miłosiernej”, która tym, co ma, każdego chętnie obdaruje.

Nieumiejących tańczyć zwano „kołowacami” albo „ściennymi podpieracami”, ale niekiedy takiego kołowaca specjalnie brano do tańca, i taki zawstydzony, spocony, zziąjany delikwent dokładał wszelkich wysiłków, by się tanecznych kroków nauczyć. Zabawy te najczęściej odbywały się w karnawale, gdy wesel było niewiele. W porze ciepłej rzadko, bo to i robota, i przecież za darmo muzykant nie grywał. Ale dosyć o tańcach, bo jeszcze zechce mi się podskoczyć i w berkowym przysiadzie runę na podłogę.

Może lepiej o czymś innym. Ile lat wtedy miałem, nie pamiętam. Ale to zapewne wczesne jeszcze dzieciństwo, gdy ojciec zwoził z przydrożnego pola kamienie pod zamierzoną budowę kapliczki. Zwoził je, zrzucał obok wykopu, a ja zaciekawiony pytałem:

– A co to będzie, tatu?

– A kaplicka – odparł.

– A co to je kaplicka? – pytałem dalej.

– To będzie taki słupek z kanieni, a na niem Matka Boska, co tera je w śpichrzu.

– To Matka Boska będzie mokła na desce, marzła zimo bez przykrycia?

– Dzieciaku, toć ona je z metalu. To nie żywy cłek, a w dodatku i z boków, i z góry będzie osłonięta. Nie bój się, będzie jej ciepło, zwłaszcza gdy ludzie i ty będą na nią ciepło patrzeć.

Innym razem, baraszkując przy pracującym ojcu i patrząc na nieboskłon po zachodniej stronie, znów niepokoiłem ojca:

– Tatu, a tam obok Małego Osowego to niebo styka się z ziemią? Czy do niego można wejść bez drabinki, czy po drabinie? Czy tamoj świat się kończy i tylko aniołki furgają?

Zdumiony ojciec posadził mnie na kolano i odpłacił pytaniem na pytanie:

– Co ci to w tym durnym łbie kołace? Skela ta twoja ciekawość i te aniołki?

– Mama o tem gadała.

I wtedy ojciec poważnym tonem zaczął mi wyjaśniać:

– Synecku! I ziemia, i niebo są okrągłe, ale ziemia z niebem się nie styka. Idąc po ziemi, do nieba nie dojdiesz, nie trafisz.

– A od cegoj drabinka – spytałem – coby po scebalkach się wspiąć?

– A do cegój ją przystawis, kiej niebo wysoko? Taka nasa drabinka, którą do kukawki przystawiamy, na nic się nie zda. Żeby się do nieba dostać, trzeba samemu sobie zbudować drabinkę z dobrych uczynków, i kto po niej do nieba dolezie, to klucznik niebieski święty Piotr otworzy i wpuści.

Zakotłowało się w mej łepetynie, ale nie pytałem więcej, tym bardziej po ojcowskich słowach:

– Zmykaj, pobaw się sam, nie przeszkadzaj w robocie. Jek dorośniesz, a będziesz dalej taki ciekawy, to o reszcie pytaj księdza.

Oczywiście, być może coś przekręciłem z tej odległej rozmowy, ale treść tego wspomnienia stanowi dla mnie nieprzemijającą wartość, bo jakżeż trudno mi dziś skonkretyzować, jaka jest ta moja niebieska drabinka.

Kiedy kapliczka była już gotowa, na przyległych grządkach rozkwitły zasadzone przez matkę kwiatki. Całą rodziną klękliśmy u stóp Matki Bożej, by oprócz paciorka odmówić i litanie loretańską. Po skończonej modlitwie matczysko wyrzekła:

– Popatrzta zeno na ocy, gdzieś daleko patrzące, na te usta dobrocią uśmiechu okrasone, na te rącki złożone. O coś Boga Ojca i Syna zidać prosi. To nasa matka i Jezusa, co za nas cierpiał rany i nas odkupił. Dzieciaki, przychodźta do Niej z ufnością, bo jek bedzieta tego warte, zawsze prośb wasech wysłucha.

Jak tego nie pamiętać?

W jakiś czas potem proboszcz, ksiądz kanonik Wałajtis, poświęcił tę kapliczkę, a ona stała latem otoczona grządkami kwiatów i zielenią drzew, a zimą w bieli śniegów i gołych konarów, bardziej widoczna i jeszcze, jak to określiła matka, być może dalej widząca. W czasie wojny bolszewickiej jakiś przechodzący zbereźnik i bezbożnik odstrzelił jej rączkę, zanim syn po ojcu w dziedzicznym przekazie nie postawił nowej, większej, bardziej okazałej.

A ta do dziś stoi, przypominając przechodniom, że poza pracą i codzienną troską jest jeszcze inny świat, o którym człowiekowi zapomnieć nie wolno... Ważniejszy!